

Rozmowa

Żeby pod sufitem było poukładane...

Rozmowa z Włodzimierzem Paszyńskim, nagrana przez Paulinę Truszczyńską i Filipa Markosa 1 kwietnia 2011 r. w ramach zbierania materiałów na wystawę „Czuwaj, Prago! Stulecie harcerstwa w prawobrzeżnej Warszawie”.
Tekst przypisami opatrzył Witold Pietrusiewicz.

HARCERSTWO

Rocznik naukowy Muzeum Harcerstwa
nr 4/5, 2021/2022, s. 137-146

Pan działał w latach 70., 80. we Władku?

Tak. W 1974 r. skończyłem studia. W czasie Operacji „Bieszczady-40”¹ podczas obozu spotkałem się z jednym z jej szefów, Alkiem Dominowskim (oficjalnie Wiktor Dominowski)². Był on wtedy chyba zastępcą komendanta tej akcji, ja prowadziłem albo współprowadziłem warszawską stanicę wraz z obozem szkoleniowym. Powiedziałem mu, że właśnie kończę studia, zresztą w trakcie tego obozu musiałem wrócić na moment do Warszawy, żeby obronić pracę magisterską. Wróciłem po tej obronie, spotkaliśmy się gdzieś na szlaku. Alek zapytał: - No to co będziesz robić? - Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że nie mam pojęcia, ponieważ przez poprzednie miesiące głównie przygotowywałem obóz i zajmowałem się tym, co miało nastąpić latem. I też zgodnie z prawdą powiedziałem, że na razie

to nie bardzo mam do tego głowę, prowadzę obóz, potem kolejny. Będę się martwić, jak wrócę. A tak w ogóle to myślę, że chyba chciałbym pracować w szkole jako nauczyciel polonista.

On spojrzał na mnie jak na osobę niespełna rozumu i powiedział: - To co, ty sobie wyobrażasz, że wrócisz po tych obozach, gdzieś pod koniec sierpnia i będzie na ciebie czekało w skrzynce pocztowej tysiąc propozycji, w odpowiedzi na zgłoszenia, których w dodatku nie byłeś nikomu uprzejmy wysłać wcześniej?

Uznałem, że chyba rzeczywiście ma rację, ale powiedziałem, że nie ma o czym gadać, bo ja i tak w tym momencie nie bardzo mam się jak zastanawiać. To był inny czas, przypominam, internetu jeszcze nie było, trzeba było zapewne napisać ileś tam takich, jak dzisiaj mówimy, „CV”, wtedy nazywało się to po prostu

1. Operacja „Bieszczady 40” - centralna akcja programowa ZHP, realizowana od roku 1974.

2. Hm. PL Wiktor Aleksy Dominowski (1932-2015), nauczyciel, instruktor Hufca ZHP Warszawa-Praga-Północ w latach 60. i 70. - m.in. namiestnik drużyn młodszych, członek rady hufca i komendy hufca, zastępca komendanta hufca ds. programowych, komendant kursów instruktor-skich, członek Rady Chorągwi Stolecznej ZHP.



fot. 1. Włodzimierz Paszyński, lata 1973–1974 (?),
(fot. ze zbiorów W. Paszyńskiego)

życiorys. Trzeba go było napisać własną ręką, włożyć do koperty, wysłać pocztą. To wszystko musiało zająć sporo czasu, którego nie miałem. Alek spojrział na mnie jak na osobę nieco nienormalną i powiedział: - Dobra, to wiesz, zobaczymy, może ja się rozejrzę u siebie w dzielnicy.

On był wiceinspektorem oświaty, tak to się wtedy nazywało, na Pradze-Północ. Ja z tą dzielnicą nie miałem przedtem nic wspólnego, byłem instruktorem Hufca Warszawa-Śródmieście i cała moja harcerska przygoda do tej pory była z nim związana. Wróciliśmy z tego obozu, pojechałem na kolejny. Z telefonami wtedy też nie było tak łatwo, zwłaszcza na obozie, bo w Warszawie trochę ich już było. Charakterystycznym obrazkiem z tamtych czasów była budka telefoniczna i kolejka ludzi, którzy ustawiali się przed nią, by zadzwonić. Telefon w warszawskim domu nie był wyjątkową rzadkością, ale też posiadanie go nie było powszechne. Spotkaliśmy się więc w sierpniu, pewnie bliżej końca miesiąca. Powiedział, żebym szybciej pisał podanie, już nie pamiętam do kogo i dodał, że pewnie będzie wolny etat w jednym z praskich liceów. Tym liceum okazał się Władysław IV. No to tam się zgłosiłem...

Początek był bardzo zabawny. Pod koniec sierpnia miałem się spotkać z dyrektorem.

Chciał mnie zobaczyć i zdecydować, czy w ogóle mnie zatrudni. Pamiętam, że wchodziłem do tej szkoły tak jakoś dziwnie, bo tam normalne wejście jest od ulicy Jagiellońskiej. A ja wlażłem od ulicy Świerczewskiego³, bo tak ona się wtedy nazywała i to było wejście przez szatnię. Jakoś tak trafiłem tamtędy, przemknąłem przez szatnię niezauważony, wszedłem na górę. To jest stary budynek, nie wiem, czy znany wam, czy nie.

Ja kończyłam Władka, gimnazjum.

No więc taki stary budynek z trzeszczącymi podłogami, wszędzie zatykający nos zapach pasty do podłogi, bo to był czas szykowania szkoły do nowego roku. Z szatni wyszedłem na górę, trafiłem na jakiś długi korytarz i rozglądałem się, gdzie też jest ten gabinet dyrektora. I wtedy usłyszałem za sobą ryk, potworny ryk. Był na tyle nieartykułowany, że pomyślałem, że być może chodzi o mnie. Na wszelki wypadek się odwróciłem i zobaczyłem jakieś monstrum, które machając, nie jestem pewien czym, chyba taką szcztoką do zamiatania owiniętą szmatą do pastowania tej podłogi, leci za mną. Na początku nic nie rozumiałem. Potem, gdy ów potwór zbliżył się niebezpiecznie, zorientowałem się, że on wrzeszczy, żebym natychmiast - mówiąc krót-

3. Obecnie aleja „Solidarności”. Dwa wejścia do szkoły: główne od Jagiellońskiej i wejście dla uczniów, przez szatnię, od al. „Solidarności” funkcjonują nadal.

ko i węzłowato - spadał stamtąd, bo ja w butach na tej świętej posadzce... Cóż, to była końcówka lata, jakieś buty na nogach miałem, ale raczej nie były to kapcie szkolne... No a ja tym świeżo wypastowanym korytarzem tak jakby nigdy nic po tej świątyni zasuwałem. Monstrum było woźną, jak się później okazało, bardzo sympatyczną, zwłaszcza dla tej części grona pedagogicznego, która piła kawę. To był pierwszy kontakt ze szkołą. Mówię o tym, choć to wątek nieharcerski, ale taki praski, dlatego sobie pozwoliłem. Stałem zatem przed wysokim obliczem dyrekcji i zostałem zaakceptowany jako przyszły nauczyciel. Podejrzałem zresztą, że dyrekcja nie miała wyjścia; niewątpliwie znalazłem się tam po tak zwanej protekcji... I tak zaczęła się moja nauczycielska przygoda z Władysławem IV.

To teraz o harcerstwie. Moja sytuacja w Hufcu Śródmieście stała się dosyć trudna. To był 1974 r. Czasy były dość szczególne, środek realnego socjalizmu. Polska miała się rozwijać, ludzie żyć dostatniej i bogaciej; takie były hasła tej epoki. Rzeczywiście, z jednej strony to był czas pewnego rodzaju otwarcia, powiewu świata; w sklepach pojawiły się rzeczy dotąd niedostępne, często nieznanne, np. Coca-Cola. Ale z drugiej strony wszystko było ideologiczne. Powołano Federację Socjalistycznych Związków Młodzieży⁴, chodziły słuchy, że władza chce zlikwidować NASZE harcerstwo i stworzyć jakąś jego namiastkę w tej federacji. Mówiło się, że powstanie jedna organizacja dziecięco-młodzieżowa na wzór pionierów. ZHP bardzo się przed tym bronił i chyba najskuteczniej. Inne organizacje, znacznie bardziej zideologizowane niż my, też poczuły jakieś zagrożenie dla takiej czy innej, lepszej czy gorszej, jakkolwiek to ocenimy, ale jednak własnej tożsamości. Jak wspominałem, harcerstwo zdecydowanie broniło się najsilniej. Władza różnie w różnych miejscach na tę obronę reagowała. Warszawa była dosyć silnym środowiskiem i takim... może słowo „niepokornym” zabrzmiało zbyt mocno, ale na pewno z jakimiś elementami takiego braku pokory. Przeciwno natrętnej ideologizacji protestowała także znaczna część mojego środowiska instruktorskiego. Tak się złożyło, że - to była wiosna 1974 r. kilka miesięcy przed opowiedzianą wcześniej historią - mieliśmy

konferencję sprawozdawczo-wyborczą Chorągwi Stołecznej. Wybieraliśmy nowe władze chorągwi. Chwilę przedtem, kilka pewnie tygodni wcześniej, zorientowaliśmy się, że komitet partyjny ma dla nas kandydata na komendanta chorągwi. Jego imienia i nazwiska przez litość wymieniać nie będę, aczkolwiek jest to pewnie łatwe do sprawdzenia. Oczekiwano, że ten właśnie „zrzutek” zostanie naszym komendantem. Uznaliśmy, że coś w tej sprawie trzeba zrobić...

To jest długa historia, całej tutaj opowiadać nie ma sensu. Skończyło się to tak, że w gronie instruktorów, głównie śródmiejskich i mokotowskich (może były też inne dzielnice, aczkolwiek chyba bez Pragi-Północ), postanowiliśmy tę konferencję przygotować na swój sposób. Doprowadziliśmy do tego, że „przyniesiony w teczce” kandydat nie został wybrany, przepadł w głosowaniu. Zabawne, że on sam - co dla nas było czymś wyjątkowo egzotycznym - nie rozstawał się z taką czarną teczką, modną wśród gierkowskiej biurokracji. Dostało więc do, jak na tamte czasy, skandalu straszliwego. Oczywiście wiadomo było, że to się dobrze nie skończy. Pamiętam, że wraz ze swoim wówczas starszym nieco przyjacielem, Olkiem Kamińskim [przypadkowa zbieżność imienia i nazwiska z Aleksandrem Kamińskim]⁵, mieliśmy na tej konferencji dwa wystąpienia, których powtarzający się refren brzmiał: „ludzie, nie dajmy się zwaśniować”. Te głosy zostały uznane za ideowo niesłuszne, politycznie podejrzane, wręcz antypaństwowe. Tak czy inaczej - kandydata nie wybraliśmy. Naszą komendantką została Basia Prószyńska⁶, która przez ładnych parę lat kierowała chorągwią.

To był taki kompromis. My powiedzieliśmy: - Basia w porządku. - Władza też powiedziała: - Basia może być. - Natomiast ja z Olkiem mieliśmy kłopoty do tego stopnia, że aktywiści partyjni chcieli, żeby nas, mówiąc metaforycznie, zutilizować. A na to Rada Hufca Śródmieście, w której wtedy byłem, nie bardzo miała ochotę. Była też komenda hufca z komendantem, na którego naciskały jakieś tam partyjne gremia polityczne. Sytuacja stała się coraz trudniejsza. Musieliśmy coś zrobić, żeby nie odbiło się to na losach hufca, bo widać było, że władza jest dosyć zdeter-

4. Federacja Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej, FSZMP - ogólnopolska struktura skupiająca ówczesnie działające organizacje młodzieżowe, działająca w latach 1973-1981 pod kontrolą Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. W skład federacji wchodziły: Związek Młodzieży Socjalistycznej (ZMS), Związek Socjalistycznej Młodzieży Wiejskiej (ZSMW) i Socjalistyczny Związek Młodzieży Wojskowej (SZMW), które w 1976 połączono w Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, oraz Socjalistyczny Związek Studentów Polskich (SZSP) i Związek Harcerstwa Polskiego (ZHP).

5. Hm. Aleksander Kamiński (1903-1978) - profesor pedagogiki, instruktor harcerski, współtwórca metodyki ruchowej, jeden z ideowych przywódców Szarych Szeregów, autor książki „Kamienie na szaniec”.

6. Hm. Barbara Prószyńska - instruktorka Hufca Warszawa-Praga-Południe, komendantka Chorągwi Stołecznej ZHP w latach 1974-1981.



fot. 2. Włodzimierz Paszyński (drugi od prawej), lata 1973–1974 (?),
(fot. ze zbiorów W. Paszyńskiego)

minowana... Nie wiem, co towarzysze by tam wymyślili, ale w każdym razie niewątpliwie nie byłoby to miłe dla dobrego środowiska instruktorskiego. Bardzo niezależnego intelektualnie i autonomicznego programowo. Mającego ambicję kształtowania umysłów światłych i otwartych, co oczywiście nie wszystkim się podobało. W tej kwestii zresztą niewiele się zmieniło...

Dlatego postanowiłem odejść. Nie chciałem być pretekstem awantury, która odbiłaby się na drużynach i ich przewodnikach. I uznałem, że muszę się zastanowić, co zrobić ze swoim życiem instruktorskim. I tak, jak dziełem przypadku czy raczej szczęśliwego zbiegu okoliczności była praca we Władku, tak losy instruktorskie związały mnie z Pragą-Północ. W szkole dostałem swoją klasę, od razu wrzucano mnie w wychowawstwo, czego się pewnie robić nie powinno, no ale tak się stało. Miałem normalny etat, uczyłem swoje klasy. I byłem przekonany, że uczenie ma sens wtedy, kiedy wychowanek nie wiąże się tylko ze szkołą. Zaczęło się więc chyba od tego, że gdzieś tam sobie wyjechaliśmy z tą moją klasą i jeszcze jedną pierwszą. Na jakiś rajd chyba, a może biwak. A potem, już razem z uczniami, uznaliśmy, że może warto coś wspólnie zrobić – najlepiej z pożytkiem dla siebie samych i innych. I na tej glebie wyrosła drużyna. Podwójna rola – nauczyciela i instruktora

– umacniała moją niezależność i poszerzała pole wspólnych poszukiwań. W szkole działał wówczas niezbyt duży i aktywny szczepek harcerski, ale już na wstępie coś między nami zazgrzytało. Jego kadra nie miała do mnie cienia zaufania; przyznać trzeba, że odwzajemniałem to odczucie. Głównie chyba różniłyśmy się w postrzeganiu sensu pracy harcerskiej. Oni widzieli ją w kształtowaniu postaw i umiejętności, które ja ceniłem sobie w stopniu umiarkowanym. No więc zaproponowałem, że poprowadzę drużynę⁷, ale nie mam żadnych wobec szczepeku oczekiwań... Nie wyglądali na uszczęśliwionych tą propozycją, ale też nie mieli innej.

Drużyna swoim bohaterem uczyniła niejakięgo Kubusia Puchatka. Część środowiska uznała to za zamach na prawdziwe wartości, bo my jesteśmy przyzwyczajeni do takich strasznie nadętych bohaterów, często godnych szacunku, ale z piedestału... A tu nagle w szczepie gen. Jasińskiego Kubus Puchatek, to przecież niepoważne. Tłumaczyłem, że nie wydaje mi się, żeby Kubus Puchatek był mało poważny, że intelektualnie to, co miał do powiedzenia, było naprawdę bardzo nabrzmiałe, a wartości, które w tym Stumilowym Lesie się pojawiają, są naprawdę ważne. Tak powstała drużyna przyjaciół Kubusia Puchatka. Ja tam potem ściągnąłem swoich ludzi ze Śródmieścia głównie – Leszka Ruszeckiego⁸, nieżyjącego

7. 17/IV WDH (czwarta drużyna szczepeu) „Kubusia Puchatka” działała w latach 1974–1977.

8. Hm. Leszek Ruszecki – instruktor przeniesiony z Hufca Śródmieście w końcu 1975 r., późniejszy kierownik referatu drużyn HSPS (starszoharcerskich) Hufca Warszawa-Praga-Północ.

już Andrzeja Goszczyńskiego⁹. Do tego doszli „miejscowi”, którzy się z nami zaczęli powoli zaprzyjaźniać. Powstawały kolejne drużyny, tam się jeszcze Mały Książę¹⁰ pojawił, poszło w klimaty mniej patetyczne, a bardziej intelektualne. Łączyła nas taka moda na „szpan na głowę” - to oznaczało, że chodzi o to, żeby się rozwijać, żeby czytać, żeby oglądać, a przy okazji chodzić po górach, pływać po rzekach i jeziorach. Taki zrównoważony rozwój... I tak się to zaczęło. Trwało przez lat parę. To był czas, kiedy drużyny starszoharcerskie miały realizować tzw. program HSPS-u – Harcerskiej Służby Polsce Socjalistycznej¹¹. Nas od innych odróżniało to, że mówiliśmy, że każdy program może się nazywać w sposób zupełnie dowolny; pytanie, jakimi treściami się go wypełni. A my wypełnialiśmy go takimi, jakie wydawały nam się stosowne, ważne dla rozwoju. Wtedy też próbowano wprowadzić, udanie w wielu środowiskach, inne mundury - takie bluzy piaskowe czy coś w tym stylu. Do tych bluz były krajki - coś na kształt czerwonych krawatów z jakiejś dzianiny, przetkane białymi nitkami po bokach. Ale niektórzy nadal nosili chusty. Myśmy bluzy z krajką nie zaakceptowali, zostaliśmy przy klasycznym zielonym i szarym mundurze. Te bluzy zresztą nazwaliśmy na swój własny użytek, pewnie było to mało eleganckie, „hajotkami”. „Hajotka” - od takiej organizacji, której skrót brzmiał HJ (Hitlerjugend)¹² i której członkowie nosili mundury w podobnym kolorze. Powiedzieliśmy, że „hajotek” nie będziemy nosić. Bo taki mieliśmy stosunek do tych odgórnie dekretowanych przeobrażeń. Bluzy z krajką były w różnych częściach kraju mniej lub bardziej powszechne. W Warszawie generalnie nie najbardziej, aczkolwiek sporo drużyn przyjęło to bez najmniejszych oporów. No więc chodziliśmy w tych zielonych i szarych mundurach. Żeby jeszcze bardziej podkreślić tę naszą odrębność - z facetami nie było problemu, bo rogatywki były dostępne w składnicy harcerskiej - dziewczyny też

postanowiliśmy w nie ubrać. Dla nich rogatywek nie było, sprowadzaliśmy je z Krakowa, w Warszawie pojawiły się znacznie później. Podobnie z lilijkami. One wtedy stały się takie bardziej kanciaste, inaczej wystylizowane. Z tą samą symboliką, tymi samymi literkami, ale trochę inne. Je też kupowaliśmy w Krakowie, ktoś to robił, były dostępne w jakimś sklepiku. No więc mieliśmy te mundury, a dziewczyny miały fajne, szare rogatywki, bardzo je lubiły. Potem się okazało, że naszym szlakiem zaczynają iść niektóre inne praskie drużyny, że im się to spodobało. Przykład był na tyle zaraźliwy, że właściwie cała starszoharcerska część hufca nie nosiła „hajotek”.

W 1977 roku musiało nastąpić zmiana komendanta hufca. Dotychczasowy przechodził do innej pracy. I nagle się pojawiło pytanie, kto ma ten północnopraski hufiec poprowadzić. Pamiętam, jak odbyliśmy rozmowę na tylnym pomoście tramwaju linii nr 4, który wtedy zmierzał w kierunku Stalowej; pewnie umówiliśmy się gdzieś koło Władka. To było przyjazne miejsce do prowadzenia tego typu rozmów... Było nas tam trzech: odchodzący komendant Leszek Głogowski¹³, nieżyjący już niestety Marek Graf¹⁴ i ja. Wskakując na pomost tej „czwórki” naprawdę nie miałem pojęcia, o co chodzi. Zadzwonił do mnie, nie pamiętam, czy Leszek, czy Marek, i powiedział, że musimy się zobaczyć. Leszek oświadczył, że on odchodzi niebawem i chce nam zaproponować poprowadzenie tego hufca... Początkowo obaj z Markiem nie byliśmy do końca przekonani, czy rzeczywiście my mamy go przejąć. Ja się zdystansowałem trochę bardziej. Wątpiłem zresztą, że zostaną zaakceptowani, no bo jednak, nie ma co ukrywać, tego typu nominacja musiała być wtedy zatwierdzona przez władze partyjne. Dzisiaj się niektórzy do tego nie przyznają, ale to po prostu tak było. A ja nie byłem członkiem partii i nie miałem tego w planach życiowych, Marek zresztą też.

W trakcie tej trudnej dla nas wszystkich rozmowy powiedzieliśmy, że trzeba nadać huf-

9. Hm. Andrzej Goszczyński (1957–2006) – instruktor przeniesiony z Hufca Śródmieście w końcu 1976 r., późniejszy członek rady hufca, w latach 1977–1979 komendant Szczepu 17 WDH, 1979–1980 przewodniczący 17 Kręgu Instruktorskiego. Dziennikarz, współtwórca Centrum Monitoringu Wolności Prasy przy Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich, założyciel Obserwatorium Wolności Mediów.

10. 17/II WDH „Przyjaciele Małego Księcia”, drużyna działająca w latach 1977–1978, prowadzona przez Joannę Tokarską, a następnie Urszulę Zubilewicz. Joanna Tokarska-Bakir jest antropologiem kultury, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, członkinią rady naukowej Żydowskiego Instytutu Historycznego, członkinią polskiego PEN Clubu i jurorką Nagrody Literackiej „Nike”.

11. Harcerska Służba Polsce Socjalistycznej (HSPS) – program dla drużyn harcerskich działających w szkołach średnich, wprowadzony w Związku Harcerstwa Polskiego w latach 1973–1981. Organizacyjnie w każdej szkole działał szczep, zaś w klasie/równoległych klasach drużyna (tzw. klasodrużyna). W szczepie funkcjonowały także kluby o różnych specjalnościach (turystyczne, artystyczne, naukowe, wiedzy społeczno-politycznej itd.). Wprowadzono dla tego pionu wiekowego odrębne mundury - beżowe (piaskowe) koszule z czerwonymi krajkami, mającymi po bokach białe nitki, oraz berety bordo.

12. Hitlerjugend (Hitler-Jugend, w skrócie HJ, dosłownie „Młodzież Hitlera”) – paramilitarna masowa organizacja młodzieżowa w hitlerowskich Niemczech w latach 1922–1945, przybudówka Oddziałów Szturmowych (SA).

13. Leszek Głogowski – komendant Hufca Warszawa-Praga-Północ w latach 1975–1977.

14. Marek Graf – komendant Hufca Warszawa-Praga-Północ w latach 1977–1980.

cowi jakiś nowy impuls, zmienić to i owo. Leszek podzielał chyba ten pogląd i uznał, że my dwaj będziemy dobrym tandemem, który poradzi sobie z tym wyzwaniem – Marek jako komendant hufca, ja jako jego zastępca programowy. Powtórzyłem nieśmiało, że nie jestem pewien, czy programowy zastępca, programowo wolnościowy i bezpartyjny, czego najlepszym świadectwem była ta nasza „Siedemnastka” ze swoimi mundurami, będzie do zaakceptowania przez matkę partię... On na to, że to już jego problem i że będzie rozmawiać... My myśleliśmy o tym jeszcze z dzień czy dwa, pogadaliśmy sobie na temat pracy, jaka nas czeka i powiedzieliśmy, że w porządku, możemy zaryzykować, oczywiście jeśli zostaniemy wybrani.

W tym krótkim, bo zaledwie kilkuletnim okresie naszego z Markiem kierowania hufcem parę rzeczy się zmieniło, zwłaszcza jeśli chodzi o kształcenie instruktorów i programowanie pracy drużyn. Nam się wtedy, słusznie, jak sądzę, wydawało, że słabością harcerstwa jest niewielka liczba, czy wręcz brak projektów kierowanych do młodych ludzi, którzy chcą przeżyć jakąś autentyczną, intelektualną i zarazem twórczą przygodę. Tego i dziś w wielu środowiskach brakuje. Nie mieliśmy nic przeciwko temu, by ćwiczyć ciało, ale zależało nam na tym przede wszystkim, by i umysł choć trochę się gimnastykował, by tworzyć programy sprzyjające rozwojowi intelektualnemu, kształtowaniu postaw prospołecznych, prodemokratycznych, wolnościowych wreszcie... Cała reszta to dodatek, niekoniecznie służący na dłuższą metę harmonijnemu i społecznie pożytecznemu rozwojowi.

Tu pewnie trzeba powiedzieć o tak zwanym jednolitym froncie wychowawczym. Aż korci, żeby powiedzieć: szkole janczarów. Może zresztą taka myśl wylęgła się w jakichś zacządzonych ideologicznie łepetynach. U nas była bez szans, bo w naszym północnopraskim harcerstwie zagościła moda na siedemnastkowe wzorce. A w niej nie było miejsca na ideologiczne zaciętrzewienie, akceptację ciemnogrodu w peerelowskim wydaniu. Nie chcę powiedzieć, że animowaliśmy jakąś pełzającą kontrrewolucję; to byłaby nieprawda. Ale nie byliśmy ślepi na otaczającą rzeczywistość i chcieliśmy, by nasi wychowankowie też potrafili ją dostrzec w pełnym wymiarze, odartą z nachalnej propagandy.

To, co powiem, zabrzmiałoby obrzydliwie, bo rzecz niemoralna bardzo była i nawet się tego trochę do dziś wstydzę. Pod koniec lat 70. praktycznie nie mieliśmy w miarę dużego, nadającego się do działań reprezentacyjnych szczeplu, który chodziłby w tych koszulach z krajką. A ponieważ od czasu do czasu były jakieś oficjalne imprezy i dzielnica żądała, żeby wystawić taką „hajotkową” drużynę, to w jednej ze szkół, pamiętam w której, ale liतोściwie przemilczę, mieliśmy w szatni pięćdziesiąt tych bluz. Jeśli gdzieś w tygodniu, w czasie lekcji była taka uroczystość, to po prostu uczestniczyli w niej przebrani w nie uczniowie. Z niekłamana radością, dodajmy, udawali się pod jakiś pomnik, zwłaszcza gdy działo się to zamiast matematyki, polskiego czy innej biologii. Podkreślę jeszcze raz: to było ohydne, ale wiedzieliśmy, że nasze drużyny albo niechętnie wezmą w tym udział, albo w ogóle nie wezmą, a już na pewno nie włożą na siebie tych koszul! Trudno to zrozumieć dzisiaj, kiedy człowiek mówi „nie” i tyle. To były swoiste serwituty, składały się na rzecz większej swobody innych. To, że pięćdziesiąt tych koszul wisiało w szatni, powodowało, że ileś tam drużyn nie musiało robić tego, czego nie chciało. Tak to wyglądało i powiedzmy sobie szczerze, współcześnie też zdarza się całkiem często. Tylko kontekst inny...

W latach 70. czas się szybko zmienił. Przypomnę: przełomem w myśleniu był najpierw rok 1975, zmiany w konstytucji¹⁵, potem 1976, wydarzenia w Ursusie, Radomiu; wtedy też praktycznie powstał drugi obieg wydawniczy, to znaczy pierwsze drukowane nielegalnie książki. Niektórzy z nas mieli dostęp do paryskiej „Kultury”, ale większość czytała tylko to, co było w obiegu oficjalnym. Aczkolwiek przyzwoitość nakazuje powiedzieć, że to były czasy, w których wychodziło sporo dobrych książek. I oczywiście powstał Komitet Obrony Robotników – myśmy w nim nie byli, ale niewątpliwie nasze sympatie i sposób myślenia były związane z tymi wartościami, które proponowało środowisko KOR-u, to, które potem określało się mianem demokratycznej opozycji. No i kiedy przyszedł rok 1980, kiedy wszystko się zaczęło odnawiać, uznałem, że zamknęła się jakaś epoka, że to pora, by pewien okres w życiu zakończyć i zacząć nowy, zając się trochę innymi sprawami. Oczywiście dalej uczyłem w szkole, natomiast w 1981 r. odszedłem z harcerstwa. Również dlatego, że gwałtowne jego odnawianie, zwłaszcza w nie-

15. W lutym 1976 r. wprowadzono do ówczesnej konstytucji zapisy, że Polska jest państwem socjalistycznym, które w swej polityce umacnia przyjaźń i współpracę ze Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich i innymi krajami socjalistycznymi, a PZPR jest przewodnią siłą społeczeństwa w budowie socjalizmu. Zmiany w konstytucji wywołały protesty społeczne.

których środowiskach, nieco mnie drażniło. Myślałem tak wtedy, myślę i dziś również, że w tych trudnych latach 70. w Stołecznej Chorągwi nie działo się najgorzej, nie było powodów do rozdzierania szat i bicia w piersi. To była chorągiew, która, przypominam, nosiła imię Bohaterów Warszawy. Tu się mówiło o tradycjach. Na pewno nie byliśmy w pierwszej linii frontu ideologicznego. Oczywiście niektóre środowiska były indoktrynowane bardziej, niektóre mniej, były i takie, które nie były wcale. Tych ostatnich i przedostatnich nie było tak mało, przynajmniej tak mi się wydaje. I tak zresztą postrzegam „Siedemnastki” tamtego czasu i hufiec drugiej połowy lat 70.

A żeby domknąć wątek szkolny, to we Władku pracowałem cztery lata, ale z każdym rokiem było coraz trudniej, również w harcerstwie. Im bardziej wybijaliśmy się na samodzielność, podkreślaliśmy własne zdanie, sposób myślenia niekoniecznie zgodny z linią reprezentowaną przez „czołową siłę narodu”, tym większe były kłopoty. Z jednej strony powinienem pewnie uczciwie powiedzieć, że pozwolili mi do końca te cztery lata dopracować, ale atmosfera stawała się coraz bardziej napięta, pojawiały się wyraźne sugestie, że bym poszukał innej roboty, jeśli nauczycielskiej, to niekoniecznie w tej szkole. I coraz częściej zadawałem sobie pytanie, czy warto kopać się z koniem, jeżeli chce się coś pożytecznego i sensownego robić. Swoje klasy doprowadziłem do matury, kolejne zacząłem co prawda uczyć, ale atmosfera wokół gęstniała. I wtedy, dość niespodziewanie, dostałem propozycję pracy w zupełnie innej dzielnicy. Ale to już całkiem inna historia.

W którym roku Pan skończył pracę we Władku?

W 1978 r.

Szkoda, bo chciałam zapytać o stan wojenny. To mam pytanie jeszcze – bo u Pana w drużynie noszono legendarne kwieciste chusty-przejsiówki. Skąd pomysł na kwieciste przejsiówki?

To był taki bardzo dawny pomysł z harcerstwa - na tak zwane „obozówki”. Bo na obozach warunki były takie, jakie były, zwłaszcza pół wieku temu one naprawdę były inne. Chusta to było coś bardzo ważnego w sensie symbolicznym. Więć chodziło o to, żeby tej

chusty nie szargać na obozie, no bo wiadomo – miesiąc w lesie. Myśmy te chusty oczywiście mieli na jakieś szczególne, uroczyste okazje. Natomiast na co dzień chodziło się w obozówkach. Nosiło się je przy mundurze, ale i „po cywilnemu”, przede wszystkim na kolonii wychowawczej. Obozówka jakoś tam dzieciaka identyfikowała, zwłaszcza gdyby się gdzieś zapodziało. I z tych obozówek zrobili się, o ile pamiętam, przejsiówki. U nas nie można było tak po prostu przyjść i powiedzieć: zapisuję się. Trzeba było być, że tak powiem, przyjętym. Rada drużyny musiała uznać, że tego człowieka można zaakceptować i tym samym wziąć za niego jakiś rodzaj odpowiedzialności. Ta przejsiówka to był taki moment pośredni; jeszcze nie masz prawa noszenia chusty, ale już jesteś u nas i to jest znak twojej przynależności. Potem dostaniesz chustę, to będzie kolejny taki znak, a kiedyś zdobędziesz krzyż. Krzyż się zdobywało, nie dostawało, jak to bywa obecnie. A my bardzo szanowaliśmy krzyż harcerski. Złożenie Przymierzenia i wręczenie krzyża to był taki moment pełnej inicjacji i wtajemniczenia.

U nas się nadal zdobywa.

Nadal się zdobywa, dobrze. Wtedy bywało różnie - to był taki czas w harcerstwie, w którym tak naprawdę tę chustę, ten krzyż, bardzo często w niektórych drużynach się dostawało. To znaczy wystarczyło zgłosić akces i się było. Organizacja miała być coraz większa, miały nas być miliony i były¹⁶. A myśmy powiedzieli: nie! „Siedemnastka” była grupą dosyć elitarną, skupiała naprawdę fajną młodzież, w swojej części elitę intelektualną szkoły, ludzi, którzy mieli pod sufitem dobrze poukładane. A harcerstwo im w tym układaniu pomagało. Tak jak już mówiłem, sporo czytaliśmy, gadaliśmy o tym, chodziliśmy do teatru. Robiliśmy mnóstwo takich rzeczy, które sprzyjały temu, żeby pod tym sufitem było w porządku. I potem dokładnie taką samą zasadę stosowaliśmy w hufcu wobec instruktorów. Instruktor miał być KIMŚ. Kimś w sensie nie takim, że ma krzepę niebywałą, co oczywiście jest bardzo pożyteczne, jak się buduje latrynę czy coś takiego, ale umie robić użytek z rozumu, potrafi pracować głową.

Mogę to ubarwić anegdotą, jeszcze z czasów Śródmieścia. Znowu będzie naganna moralnie i podobnie jak przy tej o „hajotkach” trochę mi wstyd, kiedy ją opowiadam. Otóż kiedy była ta ofensywa starszoharcerska, HSPS-owska, my nie chcieliśmy brać w tym udziału.

16. Na VI Zjeździe Związku Harcerstwa Polskiego w 1977 r. przyjęto 3-milionowego członka ZHP, a w końcu 1979 r. spis statystyczny na koniec roku wykazał 3 442 347 członków.

A chodziło o to, żeby masowo zakładać te drużyny. Wszystko jedno, kto w nich będzie, jaki program zrealizują – mają być i już! Oczywiście dyrektorzy szkół zostali też pouczeni, że powinni zrobić wszystko, żeby powstały. Jak powiedziałem, myśmy takiej formuły nie mogli zaakceptować, ale w kraju, w Warszawie niestety także, takie drużyny tworzone. Najczęściej wyspecjalizowane w jakichś rzekomo niezbędnych do życia umiejętnościach sportowo-militarnych. Dzisiaj, z perspektywy późniejszych doświadczeń, nie oceniałbym tego może tak surowo dostrzegając, że dla niektórych taka drużyna mogła być jedyną szansą na jakąś przygodę i zmianę na lepsze czegoś w ich życiu. Wtedy jednak nie byłem specjalnie pobłażliwy na próby tworzenia czegoś, co kłóciło się z obrazem harcerstwa, jaki chciałem widzieć. Dlatego członków tych drużyn i instruktorów, którzy je zakładali określaliśmy mianem „teerów”. Deszyfracja tego obelżywego skrótu jest prosta: to liczba mnoga od „tępy ryj”. Równie mało elegancka jak „hajotka”... Powtórzę więc raz jeszcze: trochę się wstydzę, nie brzmiało to po instruktorsku – ale coś na usprawiedliwienie mam. Byliśmy, jakkolwiek to zabrmi, idealistami. I chcieliśmy harcerstwa z naszych marzeń, a jego HSPS-owska wersja była od nich bardzo odległa. Ci, którzy ją tworzyli, też.

Jasne.

Nam się zdawało, że jeśli harcerstwo ma przetrwać w sensownej formie, to musi mieć mądrych ludzi gdzieś tam na czele, wśród instruktorów. Zresztą też trzeba sobie jasno powiedzieć, że wtedy w wielu środowiskach harcerstwo było jedynym miejscem, w którym różni ludzie znajdowali dla siebie rodzaj azylu, kawałek przyjaznego świata. Po roku 1980 to już się inaczej układało. Szukaliśmy dla siebie innych miejsc, często uznając, że w nich będziemy bardziej pożyteczni i zarazem skuteczni w kształtowaniu rzeczywistości, która była wokół. Ja też. W latach 80-81 walczyliśmy o lepszą, mądrzejszą szkołę, w stanie wojennym zorganizowaliśmy tzw. ruch oświaty niezależnej, wydawaliśmy gazetę, tworzyliśmy biblioteki, materiały programowe itp. Natomiast lat 80. w harcerstwie oceniać nie chcę - do dziś różnimy się pięknie z niektórymi koleżankami i kolegami w poglądach na niektóre historyczne kwestie. Część instruktorów odeszła, o czym mówiłem przed chwilą, część została z pobudek zapewne szla-

chetnych. W Warszawie silny był KIHAM¹⁷ – ruch, który wyraźnie próbował kontestować rzeczywistość. Gdybym był wtedy jeszcze w harcerstwie, to pewnie bym się gdzieś w tym kręgu KIHAM-owskim znalazł. Aczkolwiek wówczas wydawało mi się, że mam już ten etap za sobą i teraz po prostu w sposób jednoznaczny, bez udawania czegokolwiek, pójdę w trochę inną stronę. Mój i niektórych moich przyjaciół KIHAM to były lata 70. Do tego doszło coś, co mnie osobiście bardzo drażniło – wyraźna klerikalizacja. Dla mnie harcerstwo było zawsze organizacją unikającą jakichkolwiek rozróżnień światopoglądowych. Tak jak nie chciałem harcerstwa zideologizowanego na czerwono w latach 70., kiedy zacząłem już coś rozumieć i przeglądać na oczy, tak samo nie chciałem harcerstwa w kolorze czarnym. Bo jestem przekonany, że nie powinno być w nim miejsca na jakiegokolwiek koloru i deklaracje w sferze życia duchowego. To prywatna sprawa każdego z nas, niezbywalny element osobistej wolności. Tak było w naszych drużynach – każdy wierzył w to, co chciał. Ostentacja religijna, która się pojawiła w latach 80., miała charakter wykluczający, była elementem swoistej sztancy Polaka patrioty. Kto do niej nie pasował, przestawał być nasz. To paskudne, oburzające i godzące w wolność człowieka, jego prawa. Niestety, przełom roku 1989 ten problem uwypuklił. A miałem naiwną nadzieję, że będzie odwrotnie. Paradoksalnie, z upływem lat nie traci na wyrazistości i w konsekwencji zamiast łączyć, dzieli do dziś coraz bardziej.

Na końcu pytanie: co takiego dało Panu harcerstwo, co przydało się potem w życiu?

W jakim wy jesteście wieku?

Ja mam 20 lat teraz.

A pan?

15.

No tak... To pewnie nie zabrmi najlepiej, ale powiedziałbym, że harcerstwo dało mi absolutnie wszystko. Dodałbym jeszcze, że wszystko to, co mi harcerstwo dało, zawsze starałem się oddawać. I w harcerstwie, będąc instruktorem, i niewątpliwie potem, gdy uczyłem, i paradoksalnie też pracując w urzędzie. Oczywiście ważne było też to, co wyniosło się ze szkoły, studiów, praktyki

17. Krąg Instruktorów Harcerskich im. Andrzeja Małkowskiego (KIHAM), szerzej: Porozumienie Kręgów Instruktorów Harcerskich im. Andrzeja Małkowskiego - ruch programowo-metodyczny w Związku Harcerstwa Polskiego, działający na rzecz odnowy harcerstwa w latach 1980-1982, a później jako niejawni Ruch Harcerski (Rzeczypospolitej).

działań z tamtego czasu, książek, które się wtedy czytało. Zawsze to podkreślałam, książki były – powinienem użyć czasu teraźniejszego – książki są naprawdę ważne, wtedy i teraz; niestety coraz trudniej się przebić z taką tezą. Ale dlaczego powiedziałem: wszystko? Dlatego, że nauczyło mnie rzeczy podstawowych – odróżniania tego, co dobre, od tego, co złe. Pokazało wartość ludzkich relacji w codziennym życiu społecznym, w kontaktach z innymi. Harcerstwo nauczyło mnie, że warto się zaprzyjaźnić z Kubusiem Puchatkiem, Królem Maciusiem i Małym Księciem, bo oni w sposób najprostszy z możliwych mówią o tym, co najważniejsze. Oczywiście można tego poszukać i też znaleźć w wielu innych mądrych tekstach, ale urzekająca forma narracji powoduje, że łatwiej nam odkrywać świat i uwierzyć w możliwość jego oswojenia. Uczą te swoiste gawędy, jak traktować ludzi, których spotykamy na swojej drodze i czego mamy prawo od nich oczekiwać. Uczą i tego, że jak można się lubić albo nie lubić, to zawsze lepiej się lubić. Bardzo ładnie dookreślił to Aleksander Kamiński mówiąc, że jeżeli ludzie się różnią, to w porządku, niech się różnią, ale pod warunkiem, że robią to pięknie. Równie celnie pisał o dzielności; być dzielnym, to znaczy umieć się odpowiednio zachować w każdej, najtrudniejszej nawet sytuacji, być przyzwoitym, samodzielnym, zaradnym. Mieć świadomość tego, że trzeba dbać o swój rozwój intelektualny, bo samo napinanie mięśni żadnego problemu skutecznie nie rozwiąże.

To wszystko jest niezbędne, kiedy się ma zastęp, drużynę. Pierwszą kolonię zuchową prowadziłem, jak skończyłem siedemnaście lat. Choć po maturze, nie byłem jeszcze pełnoletni, prawną odpowiedzialność podpisał za mnie nieco starszy kwatermistrz. Mówię o samodzielnej kolonii, której byłem kometantem. Wyjechałem, było tam sześćdziesięcioro chyba dzieciaków plus kadra. Musiałem sobie poradzić. I poradziłem - harcerstwo mnie do tego przygotowało. W jakimś tam sensie to nasze harcerstwo, począwszy od tego, z którego ja wyszedłem, a do którego trafiłem jako zupełny gówniarz, uczyło demokracji. Działała rada zastępu, drużyny, czasem sąd, a w zuchach krąg rady. Ważne decyzje zapadały w sposób naprawdę demokratyczny. Dyskutowaliśmy całymi godzinami, na obozach często przez pół nocy, do świtu, by podjąć jakąś rozsądną, dobrą decyzję. Tego wszystkiego nie nauczyłem się przecież w szkole... Z drugiej strony miałem szczęście, że trafiłem na ciekawych, młodych ludzi, którzy przekonali mnie, że harcerstwo to świetny pretekst, żeby robić wszystko, co fajne, co mą-

dre. To oni namawiali do czytania niektórych książek, oglądania dobrych spektakli teatralnych, filmów. Do tego, żeby czasem posłuchać dobrej muzyki, żeby po prostu mądrze żyć. Oni też uzmysłowili mi, że zawsze trzeba być przygotowanym do tego, co się robi. Jeżeli odpowiedzialnie decyduję się zostać zastępowym, drużynowym czy kimkolwiek później w dorosłym życiu, to muszę być przygotowany merytorycznie, mieć przemyślany sposób działania, czyli jakąś metodę. Jeśli ta metoda okaże się kiepska, trzeba ją zastąpić inną. W odróżnieniu od późniejszych rewolucjonistów harcerskich przekonanych, że to, co kiedyś wymyślone przez klasyków skautingu jest święte, uważam, że nic nie jest święte, żadna metoda nie jest święta, żaden system wychowawczy nie jest święty. Każdy system, każda metoda muszą czemuś służyć. Jeśli coś się nie sprawdza, należy to zmieniać, modernizować. Oby mądrze i w przekonaniu, że nie ma niczego na pewno, że prawdziwa siła tkwi w dialogu, a nie demagogicznym często porykiwaniach i ideowej przemocy. Bo dyskurs to właśnie piękne różnienie się. Możliwy jest zawsze, także wtedy, gdy stajemy przed jakimś niekoniecznie życzliwym zespołem. Ta nauka przydała mi się wielokrotnie; także w pracy nauczycielskiej pamięć o niej jest szalenie ważna.

Dlatego też zawsze starałem się, by to moje harcerstwo nigdy nie było ortodoksyjne. Nie znoszę fundamentalizmu jakiegokolwiek natury, jakiegokolwiek koloru. Do „Siedemnaście” przychodzili różni ludzie. Pociągało ich to, co robiliśmy, ale nie ukrywali często sceptycyzmu wobec przestrzegania pewnych obowiązków, zasad. No więc dyskutowaliśmy o tym, co wolno, a czego nie wolno, co wypada robić, a czego już nie. W istocie były to rozmowy o wolności, jej granicach... Zwykle w pewnym momencie pojawiały się wątki związane z Prawem Harcerskim, wątpliwości co do sensowności niektórych jego zapisów, pytania o sankcje związane z ich ewentualnym łamaniem. Podobne dyskusje toczyły się też w różnych środowiskach instruktorskich. Spyta ktoś: a o czym tu dyskutować? Są jakieś zasady, trzeba ich przestrzegać i już. Trochę racji w tym jest, ale może jednak warto spojrzeć na to nieco inaczej. Poszukać odpowiedzi na pytanie: czy lepiej dyscyplinować nieustannie, czy może szukać jakiegoś kompromisu. Bo jeśli dla moich harcerzy, uczniów, pracowników miejsce, w którym się znaleźli, jest dobrym miejscem, to powinni w nim być. Jeśli nawet w jakichś kwestiach mamy różne poglądy, to rozmawiamy. Konsekwencją niezgody nie musi być ostracyzm. Wielu dylema-

tów nie da się rozstrzygnąć zero-jedynkowo, bo grozi to zgubieniem człowieka! A przecież nie o to chodzi w wychowaniu... Takiego sposobu myślenia też nauczyło mnie moje harcerstwo. Nie żałuję tego i dlatego staram się konsekwentnie spłacać dług wdzięczności, który kiedyś zaciągnąłem.

Czego się jeszcze nauczyłem? Pewnie można by opowiadać w nieskończoność. Może więc na koniec anegdota. Jest rok 1990, nowa rzeczywistość, wszystko się zmieniło. Nagle okazało się, że jest fajnie, wygraliśmy wybory, mamy rząd, budujemy nowy dom. Tylko jest jeden problem – nie mamy ludzi. Bo tych, którzy byli przygotowani do tego, by pokierować krajem, wszystkimi jego instytucjami, było jak na lekarstwo. Zaczęły się nerwowe poszukiwania tych z jakimś doświadczeniem w różnych obszarach życia społecznego. I tak, w sposób kompletnie niespodziewany także dla siebie samego, wygrałem konkurs na stołecznego kuratora oświaty.

Pamiętam pierwsze spotkanie. Spora sala, duży stół w kształcie podkowy, przy nim siedzi kilkadziesiąt osób, pracowników urzędu. Ktoś z ministerstwa powiedział o mnie dwa zdania spojrział po sali, potem na mnie i dodał: - A teraz to na pewno pan kurator państwu coś o sobie opowie. - I poszedł. Nie bardzo wiedziałem, o czym gadać, o sobie nie miałem szczególnej ochoty, więc przerzuciłem piłkę na połowę przeciwnika mówiąc: - Jeśli macie jakieś pytania, bardzo proszę. - A tam kilkadziesiąt spojrzeń, które gdyby mogły zabijać, padłbym trupem po wielokroć. Nastąpiła cisza, wreszcie podniósł się taki człowieczek i mówi: - Panie kuratorze, w paragrafie nr 41 nie ma pan pieniędzy. A jeszcze trzy miesiące do końca roku (z tym paragrafem być może skłamałem, nie pamiętam już dziś tego numerka). Co pan zrobi? - Usiadł bardzo zadowolony z siebie i przekonany, że oto właśnie zabił mnie prostym pytaniem. Na co ja bez zastanowienia spojrzałem na niego i odwdzieczyłem się innym: - A w paragrafie którymś tam mam jakieś pieniądze? - Tak - odpowiedział. - To nie ma problemu, przeniesiemy. - Po kilku latach gdzieś tam razem byliśmy, on tak patrzy na mnie i mówi: -Słuchaj, skąd ty wiedziałeś, jak wtedy odpowiedzieć? - Ja na to: - Wojtuś, bo zadałeś mi kretyńskie pytanie. Gdybyś mnie spytał o działą budżetu państwa, to ja bym padł jak kawka. A ty mnie spytałeś o książkę finansową obozu harcerskiego. To były te same paragrafy. - Pytaliście,



fot. 3. Włodzimierz Paszyński, współcześnie,
(fot. ze zbiorów W. Paszyńskiego)

czego mnie nauczyło harcerstwo. Również takich rzeczy. Ja dzisiaj tych paragrafów nie pamiętam, to było trzydzieści lat temu, wtedy jeszcze pamiętałem. Dlatego powiedziałem, że wszystkiego. Bo wyniosłem z harcerstwa i takie, można by powiedzieć, imponderabilia i ten paragraf z książki finansowej obozu...

hm. Włodzimierz Paszyński

Instruktor Hufca Warszawa-Śródmieście, następnie w Hufcu Warszawa-Praga-Północ drużynowy 17/IV WDH „Przyjaciele Kubusia Puchatka” w latach 1975–1978, komendant stałych i wędrownych obozów szczeplu w 1976–1978 r., obozów szkoleniowych i zagranicznych hufca w 1978–1980 r., zastępca komendanta hufca w latach 1977–1981, członek hufcowej komisji kształcenia i stopni instruktorskich w 1980–1981. Uczestnik VI Zjazdu ZHP w 1976 r., członek Rady Naczelnej ZHP.

Nauczyciel języka polskiego w Liceum im. Władysława IV, współtwórca I Społecznego LO przy ul. Bednarskiej. Animator oświaty niezależnej po roku 1980, w latach 1990–1998 stołeczny kurator oświaty, w 2001–2003 podsekretarz stanu w Ministerstwie Edukacji Narodowej i Sportu. W 2006–2018 zastępca prezydenta m.st. Warszawy.